Ner 16. Ćwierćrocze od 1go Kwietnia do 1go Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

w księgarniach Krakowskich
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie . — » 50 » » »
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 30 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

Conieco o wychowaniu dziewcząt wiejskich.

(*List ks. Wojciecha z Medyki.*)

I.

Jużeśmy to wypowiedzieli i jest to widoczne, że rodziny są podstawą narodów. Rodzina to krynica, z której powstaje potóczek a dalej rzeka społeczeńska. Co jest w krynicy, to będzie i w potóczku i rzece; co jest w rodzinach, to będzie w narodzie! Rodziny znowu pierwiastek, to mężczyzna i kobieta, to ojciec i matka! Jaka mać, taka nać, mówi staropolskie mądre przysłowie i wyjaśnia nam tę prawdę, że jacy rodzice, takie dzieci i przyszłe pokolenia! Nam tu chodzi teraz tylko o dziewczątka wiejskie, owe niewinne i proste latorośle drzewa narodowego, na którego koronie błyszczy się wieniec intelligencyi, a którego konarami mnogiemi i... można powiedzieć, korzeniem macicznym jest massa ludowa. Nam tu chodzi o ważną rzecz, bo kiedyś i te proste trzpiotki wiejskie będą matkami mnogich dzieci, bo kiedyś i one wychowywać będą przyszłe chłopskie plemie, bo kiedyś i one zajmą ważne miejsca w rodzinach wiejskich. A co dziś znaczą te massy ludowe, to wiadomo każdemu umiejącemu obserwować. I że te massy ludowe będą odgrywać rolę dziejową, to wie najprościejszy polityk. Aby z morza tego ludu wyszła jutrzenka polska, aby z tych milionów dzieci prostych, rozsypanych po obszernej ziemi naszej, wyszli kiedyś synowie, silni ramieniem i duchem; aby z tych dzieweczek, opalonych słońca promieniami i zabrukanych powszednią robotą, wyszły kiedyś matki polskie i szlachetne i rozumne, nad tem należy nam usilnie pracować i jak najprędzej brać się do tego świętego dzieła. Pamiętajmy, że czem ziemia i słońce dla roślin naszej ziemi, tem matka dla dzieci — zamało powiedziałem, bo ziemia i słonko nie rozbudzą ducha ukrytego do samowiedzy, a matka sama to podoła zrobić, ona skurczyć może i ciało i ducha w dziecku, może mu nadać formę szatana lub anioła, może zrobić z niego tytana lub karła, może je przenarodowić i t. d. o! taka jest potęga matki nad dziećmi, nad rodziną, a więc i nad narodami — A gdy uwzględnimy i to, że na wsi kończy się i zaczyna całe wychowanie dziewcząt wiejskich pod okiem matki włościanki, że dziewczę wiejskie oprócz domu i wsi i jakiego odpustowego kościoła nie widzi nic więcej, że podziela zwyczaj i sposób życia dziennego z matką do joty; że jakie pobiera nauki, rady i przykłady od matki, tak też i na swojem gospodarstwie kiedyś robić i żyć będzie: to wypada ztąd konieczność, aby się zająć na wsi dziewczętami, jeżeli nam zależy na tem, aby przyszłość była w naszych rękach. Zwykle córka wydaje się do sąsiedniej chałupy, mało kiedy na drugą wieś, a rzadko bardzo idzie między obcych;—jest więc blisko matki i żyje jej życiem; tak samo chowa dzieci, tak samo gotuje, tak samo chleb piecze, jak widziała u matki—dziewczęta wiejskie to żywe obrazki matek, w domu matki cały świat ich się mieści—to też na wsi żyje dotąd tradycya niezmienna co do życia materyalnego i duchowego, a filarami tego skamieniałego życia są matki włościanki. Wierzcie mi, że nie potrafimy zburzyć inaczej przesądów, ani zachęcić do ruchu przemysłowego— wierzcie mi, że podobno nigdy nie podołamy zatrzeć owego rozdwojenia między nami itd., jak tylko wychowaniem dobrem dziewcząt wiejskich na dobre matki. Kobieta czy na tronie, czy w pałacu, czy we dworze, czy w cichej wiejskiej chałupie, jest zawsze kobietą, ona ma wpływ wielki na rodzinę, ona dziatwę wychowuje jak może, chce i umie—ona spełnia, co Bóg na nią włożył, z tą różnicą, że jedna spełnia dobrze, druga źle, a trzecia ni źle ni dobrze.

Gdyby między włościankami były poczciwe polskie matki, nierazby one potrafiły ugłaskać tygrysią rękę męża, dzikie serce swawolnego chłopa; nierazby one pojednały chłopa z panem prostą i rozumną pogadanką, nierazby one pouczyły i dziatki swoje o obowiązkach świętych dla Ojczyzny— o! wierzę w to, że nie byłoby ani pokrzywdzenia, ani niedowierzania, ani po-

żarów, ani rozlewu krwi! Jak panie prowadzą nieraz złych mężów jakby na pasku czyto płomieniami serca, czy rozumu światłem, tak podobnie w swojem znowu kółku prowadzą i włościanki proste całą nawę domową. Niech te włościanki, owe ministry spraw wewnętrznych na wsi, będą dobremi Polkami i pobożnemi matkami, czyż nie jasna to rzecz, o ileby lepiej było na wsi?

Uważcie tylko, jak tajemne i ciche jest życie na wsi, że niektórych tajemnic tego życia nie dosięga ani religia św. ani żaden dozór, a nitki tych tajemnic trzymają włościanki w ręku: a przyznacie, ileby dobrego krzewiło się niedostrzeżenie i cicho po wsiach, gdyby te włościanki były rostropne i poczciwe. Nieraz ludzie głupi i przewrotni szerzą rozmaite plotki, które nie dójdą do ucha księdza, ani do dworu, a które wiele złego sieją, a wtedy tylko matki dobre podołają nicość i niedorzeczność tych plotek okazać, i każda taka włościanka potrafiłaby tę hydrę zdusić czy to w domu przed dziećmi, czy w zgromadzeniu na weselach lub chrzcinach. Nieraz nieprzyjaciele rozsiewają naumyślnie między chłopkami szkodliwe wieści, które lecą z ust do ust, i w jednym dniu obiegną wieś od końca do końca: niemasz na to prędszego i lepszego lekarstwa nad rozum i poczciwość matek wiejskich. Wiemy, że Opatrzność daje żywot ziemski i warunki jego, ale ten żywot jest rękojmią dopiero żywota przyszłego — żywot chwalebny, nieśmiertelny, wyrabia sobie każda jednostka pracą i zasługami, a środkiem do takiego żywota jest wychowanie religijne i narodowe. Nie rodzi się człowiek z aureolą koło kolebki, ani z wawrzynami na czole, nie przynosi z tamtego świata mądrości gotowej, ani cnoty i zasługi — nieraz rodzi się bogatym zewnętrznie i światowo, ale zawsze ubogim w duchu, słabym moralnie, i strona jego moralna ma się w rozwoju życia ziemskiego wyrobić na wzór boży. Z tego względu koniecznem jest wychowanie. A ponieważ i dusza dzieci wiejskich ma jednakie przeznaczenie od Boga, otóż i o te miliony dusz mamy dbać, aby one na tle dziejów narodowych świeciły jak gwiazdy, aby przędły wstęgę tęczową w dziedzinie ducha polskiego. Przeszłość nasza ma ciemne miejsca w tym względzie—zawód rolniczy ma ledwo na niektóre wieki dziejów niektóre gwiazdy—dzieje włościańskie są ciche, grobowe, bez ducha politycznego.

Morze ludu polskiego nie burzyło się, nie biło falami o brzegi lodowate Azyi, nie wyrzucało z głębin swoich utajonych skarbów bożych i narodowych—to morze było bez użytku dla narodu, jego wody ciche i zamknięte zepsuły się powoli — otóż teraz owoc tej stagnacyi tak mało pożywny dla nas! A więc zdarto śluzy tego morza zaryglowane, porobiono kanały do spokojnego odpływu, i to morze wylewa wody na polskie niwy obszerne i zaschłe, a nam teraz tylko czuwać i czuwać i pracować, aby te wody nie zalały posianego ziarna, aby te wody użyźniły rolę nasze — nam dbać jak owi stróże ewanieliczni, aby duch tego ludu milionowego nie zmarnował się, nie skrzywił się, ale żył życiem, jakie nam Opatrzność od wieków palcem na naszej skibie wyznaczyła. A owymi stróżami mają być kapłani polscy i panowie rodacy, a może najświetniejszą rolę mogłyby tu odegrać Polki zacne! Szkółki! szkółki po wsiach to hasło prawdziwe, szkółki dla dziewcząt wiejskich to zadanie główne: bo nie urodzi sowa sokoła, tylko jaka sama! a jeden ksiądz, choćby najpracowitszy na wsi, nie podoła wszystkiego zrobić. Krajowa intelligencya to tak, jak wody czyste rzeki, która wpada do wielkiego morza. Jednej rzeki wody, choćby najczystsze, nie oczyszczą wody morza, ani nie zamienią morza na rzekę—na tę robotę trzeba rzek ze wszech stron aby płynęły do morza i krajały jego środek. Otóż morzem jest lud polski, a panowie są ową rzeką — jeden... i sto robotników to za mało jeszcze, tu trzeba, aby każdy kościół i każdy dwór był czystą wodą, aby z kościoła płynęły wody prawdy bożej, a ze dworu prawdy ziemskie i światowe w serca ludu, aby ten prąd polski przepłynął wszystkie wsie ziemicy naszej dziadowskiej, aby te wody zmyły brudy ludu, a wtedy będzie plon tak prędko, jak rączo pójdzie robota. Jeżeli między intelligencyą narodową nie będzie w sercach źródła żywego, ani gorącej chęci do wychowywania ludu, jakaż będzie nasza przyszłość? Mówią dzieje, że ziemia polska miała swych Herkulesów, co dęby wyrywali z ziemi, co podkowy łamali, co bryki ciężkie ręką zatrzymywali, itd., otóż owymi Herkulesami ducha jesteście wy Panie—bo w was skupione promienie narodowości! Jak bożek Herkules wyczyścił stajnie królewskie, tak wy macie oczyścić lud wasz bratni z brudów dawnych! wy macie z dziewcząt wiejskich urobić matki wam podobne, a to przez różne wpływy na nie, przez szkółki, zakłady, pensye itd. Powiadają, że król Agamemnon przewyższał wzrostem swoje całe wojsko—owym Agamemnonem polskim to wy panowie i panie, a tym wojskiem to milionowy lud polski. Do wzrostu ciała nikt ani cala nie doda, mówi Zbawiciel, ale do podrostu ducha pomaga Bóg i człowiek. Otóż podnieście ducha ludu, aby nabrał wzrostu, jaki wam się dostał w udziale, pomóżcie kapłanom polskim w tej pracy, a będziecie mieć nagrodę taką, jaką ma słońce, iż koło niego lecą gwiazdy i świecą oblane światłem jego tak w dzień jak w nocy!

Piszą o jednym świętym mężu, że widział co dzień łzy i rozpacz jednych rodziców, którym skazano syna na galary, i zaczął ich słowami słodkiemi pocieszać, a gdy to nie pomogło, postanowił pójść i ofiarować się w zastaw za tego nieszczęśliwego syna — otóż wszedł na galary, zdjąć kazał łańcuchy z rąk syna, okuto go, a syn pospieszył do stroskanych rodziców. Kto ma piękne serce w piersi, ten się rozrzewni na

podobne poświęcenie się człowieka za drugiego, na ową radość tak uwolnionego syna jak rodziców. To też i papież kanonizując tego świętego, gdy usłyszał o tej ofierze, zawołał: Takiemu należy postawić ołtarz! Wy Panie jesteście zdolne do podobnych ofiar! Otóż przed wami leży Ojczyzna, w postaciach różnych . . . .

. . . .

. . . . — ona leży w sercu milionów ludu bratniego, ale w opłakanej postaci, to jakiejś maczugi, to straszydła, to drgań konwulsyjnych, to zwątpienia, to nieświadomości—a kto jest owym nieszczęśliwym ojcem i stroskaną matką za straconym synem? to naród cały, na przodzie którego wy stoicie jak ewanieliczne mądre panny z latarniami i naczyniami pełnemi oleju — a kto jest owym skazanym synem na galary? to wasi bracia i wasze młodsze siostry, to owe matki włościanki i ich córki — a któż ma być owym świętym drugim, aby uwolnić syna skazanego? Oto wy Panie i kapłani! O jakie szczytne zadanie dla was! Powiecie, że dużo od was żądamy! Komu więcej dano, od tego więcej żądają, mówi Zbawiciel! To wam robi zaszczyt, że do was naród woła o poświęcenie się dla drugich. Wszak do skąpców i samolubów nikt nie puka o ofiary, wszak do złych nikt nie idzie po dobrą radę, wszak do trupa nikt nie idzie z prośbą o ciepło i życia znaki— ale puka się tam, gdzie drzwi otwierają, i prosi się tych, którzy chętnie dają. Jeśli się do was naród udaje z prośbą, abyście ratowały Ojczyznę, to widać ufa wam i wierzy, że nie dozna od was zawodu. Podług słów Zbawiciela, szukał dobry pasterz zgubionej owieczki, a zostawił 99 w kupie zabezpieczonych. My powiemy dziś, stosując to do nas, że 99 zginęło między nami, a setna część ocalała. Wszak na 20,000,000 narodu ledwo jedna część miała szczęście w Ojczyźnie, a 19 części nie znało go. Temi częściami zmarnowanemi jest lud Polski— a częścią ocaloną jest intelligencya na której czele co do serca stoją nasze Polki.

Ileż pasterzy potrzeba dziś, aby te zgubione owieczki odszukać? Bądźcież temi pasterzami! rozejdźcie się po wsiach, po dworach, a każda z was niech odszuka między włościankami choć po jednej duszy zgubionej, a jaka siła ztąd wyrośnie? A jaka radość dla was ztąd będzie? Oto zbiegnie się naród koło was kiedyś, ukoronuje was jako matki, że oprócz własnych dziatek, wychowałyście i dziatki sióstr waszych biedniejszych, że stworzyłyście nowe plemie staropolskie. Jak urządzić te szkółki, o tem indziej — jednakowoż jest to tylko pomysł nasz, może kto poda lepszy.

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

III.

Mgliste obrazy.

(Ciąg dalszy.)

Madelina skończywszy modlitwę zerwała się i wpatrzyła z wyrazem na poły zadziwionym w wybawcę swego. Po prawdzie powiedziawszy, zupełnej sprawy z całego zdarzenia zdać sobie nie mogła. Czuła tylko instynktowo niejako, że wielkie przebyła niebezpieczeństwo, wyratowana przez człowieka, którego nie znała zupełnie. I zbliżyła się do niego składając ręce z wyrazem wdzięczności.

— Panie!.. ledwie wyrzec mogła, i zalała się łzami, które jej ulgę sprawiły.

— Ty mnie nie znasz biedna sieroto!. przemówił nieznajomy głosem tak dziwnie słodkim i harmonijnym, że Madelinie zdało się, jakoby słyszała głos ojca drogiego.

I w tej chwili tak żywo przypomniała sobie wrażenia, jakie miała wówczas, że nagle zwróciła się do łóżka, na którem leżał umierający, jakby się chciała przekonać czy to ten sam—wtenczas po raz pierwszy ujrzany— a dziś jej mąż...

Im dłużej wpatrywała się w chorego, tem dziwniejszych doznawała wrażeń. Wrażenia te były prawdziwie kobiece, bo mimowolnie porównywała, azali takim jest teraz, jakim się wówczas wydał. I choć blady, schudzony, z rysami przeciągniętemi, wydał się jej młodym i piękniejszym. W pierwszej chwili poznania wydawał się jej starym, starszym znacznie niżeli był w istocie. Snać od tego czasu przyzwyczaiła się do jego powierzchowności, i w własnej wyobraźni piększyła go pięknością jego duszy szlachetnej, pięknością tego serca poczciwego tak do niej przywiązanego, któremu tyle była winna.

— On nie jest tak stary!.. przybiegało jej ciągle do głowy.

— A jak szlachetne ma rysy!.. jak spokojne i wypogodzone, jakby...

— O mój Boże!.. dodała własną myślą przestraszona, ratuj go.

I z prawdziwą rozkoszą wracała do tych obrazków przeszłości, co się jej ciągle przesuwały w mgle cudnemi barwami tkanej.

— Nie znasz mnie! powtórzył nieznajomy.

— Panie znam cię! odrzekła dziewczyna. Tyś szedł za trumną mojej biednej matki. Ja twoich rysów poczciwych panie, do śmierci nie zapomnę.

I chciała go jak ojca pocałować w rękę. Nieznajomy ruchem nieco gwałtownym cofnął rękę swoją i patrzał na pietnastoletnią sierotę spojrzeniem coraz czulszem. Ależ bo śliczne było to dziewczę pietnastoletnie, z tym wyrazem twarzy niewinnym i na poły spłoszonym, z uśmiechem przy ustach, a okiem lśniącem od łez rozczulenia. Był to istny pączek róży, łyszczący kroplą rosy porannej.

— Szczęśliwy wypadek!.. rzekł do niej znowu, sprowadził mnie wtenczas na tę ulicę. Twoje sieroctwo i osamotnienie zabolało mnie bardzo!.. bo choć tyle starszy od ciebie, że ten wyraz zda się do mnie nie stósować, i ja jestem sierotą na tym świecie, i ja jestem samotny, ach!. bardzo samotny!.. Serdecznie mi żal było widzieć, jak jesteś sama przy trumnie matki, a więc i sama zapewne na tym świecie, sama'.. w tym wieku. Chciałem się zaraz dowiedzieć o tobie, aleś mi uciekła.

I opowiedział jej dopiero, jak się dowiedział od grabarza o nazwisku zmarłej, zapisanej w księdze śmiertelnej.

— Znałem twego ojca!..

— Znałeś panie!.. mego kochanego ojca!.. ojcze! ojcze!... czegoś mnie porzucił?..

— Poznałem go wypadkiem, odrzekł kapitan, i oczy w dół spuścił, bo kłamać nie był przyzwyczajony i kłamać nie lubił. Wyrzekł wszakże tę nieprawdę pomimowolnie, bo czyliż mógł wyznać przed dziewczęciem, że jej widok w owej żałobnej chwili dziwny na nim wywarł urok. Kapitan, mimo dojrzałego już wieku, miał jeszcze serce bardzo młode; otwarte na oścież na wszystkie wrażenia uczuciowe.

— Ledwie znalazłem twoje pomieszkanie, i wyszedłszy na górę, stałem chwilę przy drzwiach usłyszawszy kilka głosów. Jakże Bogu dziękowałem, że mnie tu przyprowadził!.. bo ja poznałem ich...

— Znasz ich panie?..

— Mniejsza czy znam osobiście, ale znam i wiem, że są przedstawicielami zepsucia, i hańby, która idzie za niem ślad w ślad. Czy mnie poznali, czy nie?.. i o to mniejsza, ale widziałaś jak uciekli przedemną, bo występek jest tchórzliwy...

— Lecz to już minęło!.. ja przychodzę zabrać ciebie ztąd moja sierotko biedna...

— Zabrać!.. pan?.. który mnie raz widziałeś tylko..

Biedna dziewczyna zrobiła już pierwszy a smutny krok na drodze ciężkiego doświadczenia. Już się w niej obudziła nieufność!.. w ludzi i ich pobudki. Była to zapewne niewyrozumowana, ale instynktowa nieufność, ale niemniej smutnym jest pojaw taki w wieku tak młodym, bo jest to zawsze początek odczarowania, jakby ten wiosenny przymrozek, co najpiękniejsze sparzy pączki.

— Sama jedna zostać nie możesz moja sierotko!. Czem są ludzie źli dla biednych, już poznałaś. Lecz są i ludzie dobrzy!.. do nich cię zaprowadzę... ty potrzebujesz opieki niewieściej jeszcze.

I zaprowadził sierotę do przyjaciela, do tego samego, co mu wówczas towarzyszył na pogrzebie matki Madeliny. Był to dawny towarzysz wojenny kapitana, który z nim młodzieńcem walczył w jednej i tej samej świętej sprawie. Był on rzeźbiarzem znakomitym nawet; artysta całą duszą poświęcił się sztuce z zapałem. Przyjął sierotę w dom z całą serdecznością Polaka i artysty. Miał żonę stworzoną na żonę artysty. Ciche, spokojne stworzenie, pełne cnót domowych rodzinnych, miała w sobie poczucia artystycznego tyle, by rozumieć, wielbić i kochać wyższość mężowską, i być mu na drodze żywota wierną stróżką domowego szczęścia.

Nie mając dzieci, przywiązała się do Madeliny uczuciem matki, i otaczała ją serdeczną starannością. Jako kobieta poznała bardzo prędko Madelinę, i pierwsza domyśliła się w niej usposobienia artystycznego, jakie wzięła po ojcu, cieniowanego jeno namiętniejszą od ojcowskiej natura.

— Ona będzie wielką artystką! mówiła do męża; ale czy będzie szczęśliwą?.. Bóg to jeden wie!.. dodawała z westchnieniem zwrócona do męża i mężowskiego przyjaciela.

— Ucz się rzeźbiarstwa! mówiła do dziewczyny, pragnąc, by Madelina ten zbytek zapału, jakim ją przyroda wyposażyła, rzuciła w zamiłowanie sztuki.

I Madelina została rzeźbiarką. W krótkim czasie ogromne porobiła postępy. To były dla niej czasy najszczęśliwsze.

Madelina marząc o tej przeszłości, młodniała w oczach moich wyrazem dziecinnej prawie swobody.

Przywiązana całem sercem do opiekunów swoich odzyskała wesołość młodemu jej wiekowi właściwą. Uśmiechnięta i pusta nawet od pracy, biegła do śpiewki wesołej, do pieszczot przybranej matki, do śmiechu wesołego, którym ożywiała dom cały. A choć czasem zamarzyła chwilowo w głębszej zadumie, która dziwnym urokiem opromieniała jej twarz dziewiczą co dzień piękniejszą, to przysiadła sobie w kącik, by uronić kilka łez, które mimowolnie wilżyły jej oczy urocze, co dzień wyrazistsze i promienistsze!.. A te łzy wyciskało po większej części wspomnienie ojca, a po części młode dziewczę nie rozumiało samo, dla czego zapłakało nieraz. To było obudzenie się pierwsze tych tęsknych uczuć dziewiczych, nie pojmowanych jeszcze, a tak lubych przecie.

Przywiązanie jej do kapitana było wielkie, w gruncie większe może niż do opiekunów, ale innego wcale rodzaju. Ona sama o tem nie wiedziała, ale dla opiekunów była dzieckiem jeszcze, a dla kapitana była już dziewicą. Dla niego jednego miała nawet kaprysi-

ki niewinne, pełne wdzięku, ale kaprysy zawsze. Madelina nie rozumiejąc tego wcale, instynktowo czuła, że ma nad kapitanem wielką władzę, której nadużywała czasem bez złej myśli. Był to może skutek niewinnej jeszcze zalotności, której zarody miała może po matce.

Te małe kaprysiki odzywały się najczęściej w rozmaitych nazwach, jakie mu dawała coraz to inne w poufałej na pół pieszczotliwej, a zawsze serdecznej rozmowie. I mówiła do niego śmiejąc się pustym śmiechem i skacząc w koło niego:

— Kapitanie kochany!.. panie kapitanie!.. lub znowu na przemiany: Stary mój przyjacielu!.. a czasem na pół poważnie, na pół drwiąco: Ojcze!..

Kapitan wszystkie nazwy przyjmował z uśmiechem, i sam się przywiązał do dziewczęcia uczuciem tak mocnem, że dnie prawie całe przepędzał w domu przyjaciela. Nieraz z książką w ręku siedział w pracowni, podczas gdy Madelina zgrabnemi paluszkami wyrabiała pierwiastkowe formy do medalionów, statuetek i rzeźb rozmaitych. I książka mu upadła na kolana, i w mimowolnem zapomnieniu wpatrywał się w śliczną młodej dziewczyny twarzyczkę, rozpromienioną zapałem artystycznym. I tak się nieraz zapatrzył, że nie uważał nawet jak ona przerwała robotę swoją, i dopiero budził go wesoły jej śmiech, z jakim przyskoczyła do niego...

— Czego się tak na mnie patrzysz kapitanie?.. Nie patrz na mnie...

Kapitan się mimowolnie zarumienił, czego ona nawet nie uważała, i spuścił oczy w milczeniu.

— Ja nie chcę, abyś patrzał na mnie, bo mi przeszkadzasz...

— Już idę!.. odpowiedział kapitan i zabierał się do wyjścia.

— Nudny jesteś!. nieznośny jesteś panie kapitanie.

Kapitan już był przy drzwiach. Czasem go wróciła i przepraszała serdecznemi słowy.

— Nie gniewaj się na mnie!., bo ja dziecko!..

— Bodajbyś dzieckiem jak najdłużej została.

— Ja nie chcę być dzieckiem!.. mówiła znowu tupiąc nożkami. Ja już panna!..

I znowu się śmiała i znowu dokuczała kapitanowi nazywając go kochanym kapitanem, i wypędzając go z pracowni. Albo znowu kłóciła się z nim...

— Czegoś taki smutny?.. śmiej się!.. bądź wesoły zemną!..

— Ja nie smutny!.. dlaczegóż miałbym być smutny, moja ty luba Madelinko!..

— Ja wiem kapitanie dlaczegoś smutny!.. wiem dobrze!... boś już stary!..

Kapitan nic na to nie odpowiadał, tylko wyszedł po chwili i westchnął, ale tak cicho, że go Madelina słyszeć nie mogła. I czasem po dwa i trzy dni nie przychodził, za co znowu się Madelina ogromnie gniewała, łajała, i kaprysiła jak dziecko.

Rzeźbiarz na to wszystko nie uważał, ale za to żona jego nieraz głową kiwała, i robiła nawet uwagi Madelinie.

— Moje dziecko!.. ty męczysz poczciwego kapitana twojemi kaprysami... a przecież wiesz sama najlepiej, jak on ciebie kocha!..

— Kocha mnie?.. odpowiadała z mimowolnem westchnieniem. Ja go także bardzo kocham, bo on ma takie serce... złote serce!.. Ja nie warta takiego serca... ale...

— No cóż za ale?.. ty szalona głowo!..

A Madelina w śmiech, klaszcząc w dłonie.

— Bo on już stary!..

— Cóż cię to obchodzi?..

— Jabym chciała, żeby on był młody, bardzo młody, taki jak ja!..

A widząc w oczach przybranej matki rodzaj zadziwienia...

— Bo widzisz jabym chciała, żeby on mógł ze mną bawić się i skakać!., skakać i bawić się.

— Szkoda, że on nie młody, dodawała po chwili, i wpadała nieraz w zadumę.

I tak mijały lata; Madelina miała już rok ośmnasty, i była cudownie piękna. Chwile rzewne coraz częściej przychodziły, a w sztuce swej tak daleko postąpiła, że rzeźbiarz nieraz już mówił szczerze i otwarcie.

— Tyś wyższa już odemnie Madelino!. Tyś artystka pierwszego rzędu.

Kapitan coraz więcej smutniał; i coraz częściej kłóciła się z nim o to Madelina.

— Ty już nie kochasz swojej Madelinki!.. mówiła do niego...

— Ja ciebie!... zawołał tak gwałtownie, że Madelina spojrzała na niego zadziwiona, i mimowolnie przestraszona.

Nazajutrz w rozmowie nazwał ją kapitan:

— Panno Madelino!..

Madelina rozgniewała się naprawdę, i zła wybiegła z pokoju. A gdy się znalazła z nim sam na sam, zapytała go:

— Kapitanie!.. dlaczego nazwałeś mnie panną Madelina?..

— Wszakże sama nazywasz mnie nieraz panem kapitanem...

— To co innego!.. mnie wolno!.. ale tobie nie wolno... Ja nie chcę, byś mnie panną nazywał.

— Ja to uczyniłem przy obcych... Bo ty już nie jesteś dzieckiem, i obcy wiedząc, że nie jestem twoim krewnym, mogliby się dziwić...

— Tyś mi więcej jak krewnym!.. zawołała z prawdziwem uczuciem; tyś mi ojcem!... dodała z rzewnością szczerą, i przyskoczywszy do niego, porwała za obie ręce.

Kapitan zadrżał, ale rzekł na to głosem na pozór spokojnym...

— Ja nie jestem ojcem twoim...

I westchnął znowu głęboko...

— A mnie co do tego!.. ja cię będę nazywać zawsze ojcem!.. kto mi zabroni!..

— Ojcze mój! ojcze!.. dodała z pustym śmiechem.

Kapitan nic nie powiedział na to, ale ukradkiem rękę całą siłą przycisnął do piersi.

— Ty się gniewasz!.. gdy cię ojcem nazywam?.. szczebiotała Madelina dalej... Ja już nieraz to uważałam, i chciałam się ciebie zapytać dawno: dla czego się gniewasz, gdy cię ojcem nazywam?..

— Ja się nie gniewam!..

— Ale gniewasz się niezawodnie!.. Cóż jest w tem złego?.. Przecież jesteś w tym wieku, że możesz być mi ojcem!..

— Masz słuszność!.. jestem stary!..

— Stary jak stary... ale takiej wietrznicy młodej, jak ja, możesz być ojcem...

Kapitan zamilkł, i coś dziwnie się zamyślał.

— Widzisz że mam słuszność... Ot i teraz pogniewałeś się...

— Nie moja Madelinko!.. ja się nie gniewam, ale jestem smutny!...

— Smutny?. a to dla czego?..

Kapitan krótką chwilę milczał, lecz wnet ozwał się głosem stanowczym:

— Smutny jestem, bo jutro odjeżdżam!..

— Odjeżdżasz!?.. ja nie chcę!...

— Muszę odjechać... i odjadę!..

— Na długo?.. i gdzie?..

— Za granicę... dla zdrowia!.. bo jak sama wiesz, jestem stary!..

— Ja żartowałam.

— Nie moje dziecko... miałaś słuszność. Jestem stary!.. dodał z wyrazem goryczy.

— Jutro odjeżdżam!.. i pożegnam cię na długo....

Madelina rozpłakała się naprawdę, i naprawdę rozgniewała.. Ale ni łzy, ni śmiech nic nie pomogły. Nazajutrz wyjechał kapitan, złożywszy na białem czole Madeliny pożegnawcze pocałowanie. Madelina nie mogła się od płaczu utulić.

Lecz w jej wieku żal za starym przyjacielem trwać długo nie mógł. Mówiła jeszcze nieraz o nim z prawdziwem uczuciem, ale pomału wracała dawna wesołość i pustota, a jeżeli przychodziły chwile marzeń i łez, Madelina coraz mniej rozumiała... o czem marzyła i czego płakała?

Aż wreszcie przyszedł dzień, w którym miała zrozumieć prawdziwe znaczenie i łez tych i tych marzeń bezcelnych.

Był to dzień wielki, dzień pamiętny, który w życiu uczuciowem każdego człowieka stanowi najważniejszą epokę.

I marząc Madelina, uśmiechnęła się śmiechem pełnym życia i cudnego uroku. Już teraz ani spojrzała w koło siebie, na łoże umierającego. Myśl jej i pamięć cała, i całe serce odbiło się w spojrzeniu promienistem, które utkwiła w ten mglisty wspomnień obłoczek, który coraz kraśniejszemi barwił się rumieńcami, i łyskał cały złocistemi jakby od słońca pożyczanemi promieńmi.

Madelina w mglistym obłoku ujrzała cudny obrazek, który w takiej świetności raz się tylko pojawia, i choć nieraz powraca nigdy już pierwotnym nie jaśnieje blaskiem.

Jak jedna tylko jest wiosna w roku, tak w życiu jedna jest tylko— pierwsza miłość.. Godzina tej od wszystkich uroków cudniejszej miłości wybiła dla Madeliny.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Mówiliśmy poprzednio, że się już podobno skończą niedługo sprawozdania nasze, z powodu, że i przedstawienia ustaną. Jakoż na dwóch ostatnich afiszach wyczytaliśmy: Przedostatnie i ostatnie przedstawienie w kursie zimowym. Ogłoszenie wprawdzie takie, nie wyklucza przedstawień kursu letniego, lecz zdaje się już rzeczą niezawodną, że dyrektor dotychczasowy p. Pfeifer zupełnie usunął się od dyrekcyi.

W ocenienie tego kroku z jego strony wdawać się nie myślimy; jako materyalny przedsiebiorca ma niezaprzeczone prawo dla własnego wyrachowania materyalnego przedsiębiorstwo swoje zwinąć, jak ma prawo każdy kupiec zamknąć sklep, gdy mu się tak podoba. Jego szczęście, jeżeli (jak tu jest ten wypadek) zamyka sklep nie dla bankructwa, ale właśnie dla przyczyny przeciwnej, bo dla tego, że doskonale wyszedł na spekulacyi, i zarobił grosza nie mało. Takim jest świat; tak uczy chłodne ludzi rozsądnych doświadczenie. Sklep ci to starych gratów, czy świątynia sztuki!.. przedsiębiorca każdy jest prostym spekulantem. Lecz gdy kupiec sklep swój zamknie, towar na którym zarabiał, jako przedmiot martwy nie ucierpi wcale, i zawsze znajdzie swe pomieszczenie, choćby u pierwszego lepszego tandeciarza, który zakupi resztki sklepowe. Nie tak się rzecz ma z nieszczęśliwą świątynią Muz, bo gdy ją dyrektor—przedsiębiorca i spekulant porzuci, nie martwe przedmioty on zostawia za sobą, ale żywych ludzi, swoich artystów i artystki, na których dotąd spekulował, i których wyzyskiwał na korzyść swoją, a którzy—często z rodzinami—zostają, jak mówi nasze przysłowie: na lodzie, w smutnej walce z każdem jutrem!!. Bo artyści teatrów, będących pod przewodnictwem prywatnej spekulacyi, nie

mogą nic oszczędzić ze swej gaży niewielkiej od widzimisiów przedsiębiorcy zależnej, i najczęściej w razie odejścia takiego przedsiębiorcy, wczorajszą, teatralnym szychem bramowaną purpurę, przemienić muszą na dzisiejsze i jutrzejsze łachmany własne, a papierowe pasztety udanych bankietów scenicznych, na suchy chleb łzami niedostatku skrapiany. Szczęśliwi jeszcze, jeżeli odstępujący dyrektor w ostatecznym pieniężnym obrachunku z nimi nie stara się to z dołu — dawne wyciągając rachunki—odwetować sobie, co był przymuszony dla własnej zaawansować korzyści. Bo nie dbając już—jak się nie dba o wyciśnioną cytrynę—o artystów, których część znaczną wieku i talentu, w postaci brzęczącej czy papierowej monety, do swojej zabrał szkatuły, to im nawet porachuje i odciągnie, co pierwej koniecznością przymuszony wymazać z swej księgi rachunkowej pod najświętszemi zaklęciami obiecywał. Nie stosujemy tych słów do tego lub owego dyrektora, ale taki jest bieg rzeczy w każdem niemal prywatnem przedsiębiorstwie spekulacyjnem. Podnosimy to tylko, aby dać wierny obraz położenia, w jakiem przez odejście p. Pfeifra zostało towarzystwo Krakowskie. Podnosimy dlatego głównie, aby zwrócić uwagę powszechności naszej, na obowiązek moralny niejako uwzględnienia tego towarzystwa, jeśliby mu się udało, ukonstytuować się dalej bez przewodnictwa p. Pfeifra, bo jużciż, jeżeli to towarzystwo położyło jakie zasługi, jeżeli przez lat tyle przynosiło jaki pożytek sztuce i myśli narodowej, i przyjemność sprawiało publiczności tutejszej, to przecie nie jest zasługą p. Pfeifra lub jakiegokolwiek w ogóle dyrektora teatralnego, ale zasługą ich pracy i ich talentów, wyzyskiwanych materyalnie nie przez nich samych, ale przez dyrekcyę. Owóż była—i jest jeszcze podobno —nadzieja, że towarzystwo Krakowskie bez dyrektora, na własne ryzyko i na dział... dawać będzie dalsze przedstawienia. Ta nadzieja ostatniemi dniami mocno się zachwiała. P. Pfeifer przyrzekł wprawdzie towarzystwu, że pozwoli im używać za pewnem wynagrodzeniem i lokalności teatralnej, która z mocy kontraktu do jesieni do niego należy, i biblioteki teatralnej, i garderoby i dekoracyi, której część znaczniejsza jego jest własnością — lecz tych ostatnich tylko w Krakowie, a więc właściwie tylko przez miesiąc maj. Bo przez ciąg lata towarzystwo z trudnościąby się w Krakowie utrzymać mogło, i musiałoby puścić się na zwykłą po prowincyi wędrówkę. Już ten warunek utrudnia nieskończenie ukonstytuowanie się towarzystwa. Lecz prócz tego zaszły i inne wewnętrzne trudności. W każdem zbiorowem towarzystwie najtrudniej o zgodę i jedność. Najstósowniej i najprzyzwoiciejby było, gdyby się towarzystwo skupiło około p. Królikowskiego byłego reżysera, dającego mu najwięcej rękojmii, i talentem i doświadczeniem i charakterem. Za tem była większość towarzystwa. Lecz się dobyły zaraz osobiste pretensye do kierowania, i ześrodkowania przedsiębiorstwa, ludzi jak zwykle, ani talentem, ani ufnością powszechną do tego nieuprawnionych, ale rachujących za to na pewne w publiczności, nie znającej zakulisowych intryg, urobione sobie różnemi sposobami stronnictwa. Jak w wielkich tak i małych sprawach, stoją zawsze na przeszkodzie sprawie zbiorowego ogółu, ludzie jak najmniejszej wartości, ale za to kolosalnych pretensyj, i jeszcze kolosalniejszej złej wiary. Jeżeli się to ustalenie i zespolenie towarzystwa Krakowskiego nie uda z wyżej przytoczonych powodów, będzie to wielkie nieszczęście dla artystów je składających, bo albo pójdą na nędzę, albo staną się łupem pierwszego lepszego spekulanta, z pomiędzy mnogich teraz u nas dyrektorów in partibus, który korzystając z ich nieszczęśliwego położenia, godzić ich będzie za pół darmo. I wówczas stanie się to z nimi, co mówiliśmy wyżej o sklepie. Jako martwe przedmioty z rąk kupca przejdą w ręce pierwszego lepszego tandeciarza.

Jaka ztąd szkoda dla sztuki w ogóle, a dla powszechności w szczególności!. zrozumie każdy. I dlatego też—przepraszając za dłuższy nieco, ale za to szczery i jasny wykład rzeczy— mamy nadzieję, że jeżeli się uda Krakowskiemu towarzystwu ukonstytuować się bez p. Pfeifra, powszechność tutejsza szczerem współczuciem i udziałem umożliwi utrzymanie się sceny Krakowskiej, a nie dozwalając na jej upadek, uczyni zadość jednemu z bardzo ważnych obowiązków którym jest utrzymanie sceny narodowej — *quand même* — choćby kosztem ofiar materyalnych nic nie znaczących prawie, gdy się je rozdzieli na udział całej powszechności.

A teraz co do sprawozdania samego, o czterech przedstawieniach jeszcze pogadać mamy.

Na dochód p. Królikowskiego grano: *Leszek Biały* dramat zapowiadany nam przez trzy miesiące naprzód z wielką wystawnością po afiszach, i to z dodatkiem że to jest utwór akademika Krakowskiego. Nie warto było tak długo zapowiadać rzeczy tak małej wartości. A co do dodatku o akademiku Krakowskim, miał on swoją stronę arcypocieszną. Autor p. Humnicki, był w rzeczy samej akademikiem Krakowskim, ale przed laty 50. Smutną i nieprzyzwoitą jest ta dwuznaczność i amfaza afiszowa, na zwabienie gości wyrachowana. Autor p. Humnicki pisał i inne dramata, mianowicie *Żółkiewskiego*, i choć akademik Krakowski, w początku tego wieku jeszcze, nie celował wcale utworami swemi dramatycznemi. *Leszek Biały* choć pół wieku prawie dojrzewał w jakiejś zapomnianej tece, nie dojrzał wcale na dramat jakiejkolwiek wartości. Ani treści ciekawej, ani zawikłania zajmującego; a wiersz trzynastozgłoskowy, ciężki, bez poezyi, z rymami Częstochowskiemi. Jednem słowem, cały dramat choć nie długi, ale rozwlekły i aż do uspienia nudny. Treści więcej jest daleko w tym śpiewie Niemcewicza, poczynającym od znanych wierszy: „Od dworaków o-

puszczona — Helena w stroju niedbałym." Cała intryga nie bardzo zrozumiała nawet, na tem się zasadza, że się Leszek kocha w córce Goworkowej, która w końcu jak się pokazuje, nie jest córką Goworkową. Helena, matka Leszka, sprzeciwia się, Boruta intryguje naprzeciw Goworka, który się chce poświęcać, ale w końcu następuje zgoda!. i wszystko się kończy doskonale. Co do gry artystów, jedna jest tylko rola Goworka mocniej odznaczona, i tę odegrał p. *Królikowski* z życiem i zapałem. Leszek Biały ma rolkę nikłą bardzo, ale za to, że był Białym, wątpić nie można było, bo p. *Benda* przywdział perukę jasną, która była jedyną charakterystyką dziejową tego króla, wsławionego przywiązaniem swem do starego nauczyciela i innemi zaletami. Kiedy brakowało w utworze autora tej charakterystyki dobrze odznaczonej, artysta nie mógł nic lepszego zrobić, jak dosztukować brak artyzmu w autorze ogromną peruką!.. Pna *Hofmann*, rolę Heleny także mdło bardzo odznaczoną, oddała z godnością przynajmniej, ale za to pna *Marya Łapińska* nie była ani córką Goworkową, ani córką wieku, który miała przedstawić, a tem mniej bohatyrką dramatyczną. Była tem, czem jest zawsze, tj. nader mierną aktorką, sadzącą się na deklamacyę bez dźwięku i bez czucia!. I strojem nie należała do swego wieku, chyba że była bez krynoliny, co ją uczyniło jeszcze wyższą, wzrostem długim charakteryzującą przedwiekowe silniejsze od naszych pokolenia. Ubrana zaś była w różową sukienkę dzisiejszą, co się najmocniej nie stosuje do surowości i powagi charakteryzującej minione wieki i dwory pierwszych książąt naszych.

Nastąpiły: *Wiśliczanki*. O tej sztuce, jako widowisku mającem swe zalety, mówiliśmy niedawno. Obrazy były te same, i wielcy ludzie byli tak samo przedstawiani w ubiorach i pozach, na których widok (gdyby widzieć mogli) przodkowie nasi poprzewracaliby się w grobach z gniewu i wstydu. Potockiego publiczność znowu wysykała. Dyrekcya powinnaby była zrozumieć to tendencyjne sykanie, i albo opuścić Potockiego, albo odznaczyć jasno, który to Potocki występuje — coby się dało łatwo uskutecznić, dając w transparentowym napisie np. Rewera Potocki!..

Grano dalej: *Cudzoziemczyznę Fredry*.. i *Nad Wisłą*. Wszystkim utworom Fredry radzi jesteśmy z duszy, i tylko żałujemy że ś. p. dyrekcya tak rzadko nas niemi obdarzała. Komedye Fredry zostaną, jak zostały komedye Moliera. Bo Fredro, podnosząc po mistrzowsku odznaczone wady i śmieszności społeczne, rysami żywemi i pełnemi, wypowiada prawdy nie chwilowe, ale wiecznie trwałe, które jak były prawdami przed pół wiekiem, tak i po wieku będą niemi. I to jest różnica właśnie między nim a Korzeniowskim, że ten ostatni zbiera drobniutkie rysiki społeczne, i te oddaje jeszcze drobniejszemi miniaturowemi półcieniami, które się przez czas zacierają a w końcu nikną zupełnie. Posągi i obrazy mistrzów zostają na wiecznej narodów wystawie — ale miniaturowe wyroby rzemieślników nikną po lamusach zbiorowych jak inne zużyte graty.

Nad Wisłą... to arcylichota, której nawet utrzymać nie może doskonała gra pni *Krajewskiej* i pna *Dębickiego*. Dodamy, że dyrekcya rozumiejąca wymagania chwili, i umiejąca niejako szukać godziny na kompasie czasu, powinna wymazać z repertoaru wszystkie przydrzyźniania naszym żydom. To już należy także do tych lamusów, staremi gratami zapełnionych. Żydzi dzisiejsi, bracia nasi, pokazując że chcą być nimi, być dziećmi jednej i tej samej ojczyzny, nie zasługują na to, by ich dawne zwietrzałe oddawna wygrzebywać śmieszności.

Zakończyli kurs zimowy *Krakowiacy* i *Górale* (część druga). Dobre to zawsze i narodowe, ale dyrekcya pojmująca artystyczne wymagania, powinnaby pamiętać, że wystawienie takiego obrazu narodowego nie może się obejść bez wystawy. A tymczasem teraz, niema ani śpiewających, ani tańczących, ani Krakowiaków ani Górali. Chory beczą; Krakowiaków jest zaś czterech, a Górali pół pięta (rachując Górala jednego małego).

Rozmaitości.

Chrząszcza pewien rodzaj zastępuje damom meksykańskim w stroju najdoskonalej najdroższe klejnoty—celuje nawet nad te. Hiszpanie chrząszcza tego nazywają Cacujo, po łacinie zwą go: Pyrophorus clarus.

Pamiątka *sławiańskich apostołów św. Cyryla i Metodego* odbyła się d. 9 marca b. r. we wszystkich świątyniach czeskich. W Pradze celebrował mszą św. kardynał ks. Schwarcenberg, a kanonik Sztulc miał kazanie, wykładając w niem ważność tej uroczystości pod względem narodowości. W Morawii zaś poczyniono przygotowania stawiania posągów tych św. apostołów we wszystkich kościołach na pamiątkę tysiącletniej rocznicy zaprowadzenia chrześciaństwa.

Jak wiadomo *zakon Trynitarzów* był fundowany w celu wykupywania więźniów z niewoli pogańskiej. Ks. Pavi, biskup Algieryi obliczył, że Trynitarze od założenia zakonu aż do r. 1830 wykupili z niewoli ogółem 1,400,000 jeńców, za których wydali 4 miliardy 500 milionów franków.

Do wiercenia *studni artezyjskich*, wysłał dowódzca siły zbrojnej w Algieryi na puszczę Hodua oddział inżynieryi. Wysłany oddział po przeszło miesięcznej pracy doszedł świdrem do głębokości 280 stóp, zaczem wytrysło źródło, wydające 2 100 kwart wody na minutę. Wielką jest potęga rozumu ludzkiego w świecie materyalnym; dałby Bog, aby była równą w moralnym, który się opiera na silnej woli.

Trzy szczepy główne zajmujące Europę: słowiański, romański i germański prawie są równe. Liczy się wedle najnowszych podań statystycznych: Słowian 83 i pół miliona, 85 i jedna czwarta Germanów, i 78 i pół romańskiego pochodzenia ludzi.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.